Rozmaitości

Dnia 8. Czerwca Nr 23. 1839 Roku.

POCZĄTKI ROLNICTWA.

Wyciąg z poematu w czterech pieśniach: *Ziemiaństwo polskie* przez Kajetana Koźmiana, wydania Edw. hr. Raczyńskiego. Wrocław. 1839. str. 228.

Człowiek w stanie natury o liche szałasy
Długo chodził z srogiemi zwiérzęty w zapasy;
Słabszy siłą, a potrzeb naglony przewagą,
Przeciw kłom i pazurom pierś wystawiał nagą.
Zaginąłby od paszczy drapieżnego zwiérza,
Gdyby nie wciągnął z sobą słabszych do przymierza.
Najpiérwéj pies się zbliżył do jego ustroni,
I wdzięcznością głaszczącéj odpowiedział dłoni.
Przy boku dobroczyńcy bezpieczny od głodu,
Wyparł się pokrewieństwa okrutnego rodu;
W odpornych i zaczepnych towarzysz kolejach,
Ostrzegającym głosem ozwał się po kniejach,
Wszedł w zawody z zwiérzęty i biegiem i mocą,
A łowiec jedne chwytał, drugie walczył procą.
Tak błędnego tułacza potęga urosła:
Wkrótce mu owca runo na szatę przyniosła,
Koń nie wzdrygnął się kiełzna i poznał strzemiona,
Ród groźny rogiem podał z nektarem wymiona;
A on, wodząc przy sobie orszak różnorodny,
Z unużonego łowca już pastérz swobodny,
Przebywał z nim dąbrowy niosąc krok daleki
Za grzbiety gór, za puszcze i niezbrodne rzéki;
Gdzie go wabiła wiosna bez przerwy zielona,
Gdzie grunt kłosy, gaj owoc, krzewy niosły grona,
Gdzie rozłożyste dęby nęciły do chłodu,
A przez twardą ich korę ciekły krople miodu.
Lecz kiedy tym korzyściom z gajów i ze stada
Pozazdrościła żądza chciwego sąsiada;
Gdy walki ukończone z pokonaném zwiérzem
Odnowić musiał pastérz z napastnym pastérzem;
Gdy ziemia, którą piérwsza zrumieniła zbrodnia,
Wzdrygniona, jałowiała pod stopą przechodnia,
Niestety! uledz musiał dwojakiéj potrzebie:
Walczyć z ludźmi o ziemię, a z ziemią o siebie.
Odtąd zamierzył bronić nabytéj dziedziny;
Wstały warownie z chrustu i mieszkania z gliny,
Przedarła grunt motyka łupana ze skały,
I pod siekiérą z głazu dęby się zachwiały;
Bo jeszcze twardy kruszec kryła ziemia w łonie.
Lecz gdy i po ten śmiało w głąb' zapuścił dłonie,
Zasapał miech dyszący, jęknęły kowadła,
Wzięły postać topory i rozdarte radła;
Uczuł jarzmo i stęknął w pługu wół leniwy,
A przetarty o skibę łysnął lemiesz krzywy;
Tak przymusił do hojnych płodów grunt nieżyzny,
I piérwszy zagon uczcił imieniem ojczyzny.

(*Pieśń II. str.* 48 — 50.)

DWÓCH AKTORÓW.

Szkica przez F. V. E.

Czém się oznajmia jeniusz? Tém samém, czém się oznajmia Stwórca w naturze. *Szyller.*

Pewien młody człowiek, nazwiskiem Karol Holl, który zaszczytnie ukończył nauki i z szczególniejszém upodobaniem oddawał się pięknym umiejętnościom, a mianowicie zbadaniu tajników umnictwa dramatycznego, był przez niejaki czas członkiem teatru, w którym sami tylko miłośnicy sztuki występowali, i w której on, podług swego mniemania, największe role bardzo doskonale grywał. Pewnego razu uniesiony zapałem swego urojenia, rzekł sam do siebie: »I jam się w Arkadyi urodził i mnie raj ziemski jest przeznaczony! Zajmę się rzeczywistém wykonywaniem kunsztu, zostanę aktorem.« Człowiek ten miał po swoich rodzicach cokolwiek uzbiéranego grosza i spodziewał się, iż po śmierci podeszłego wuja, którego jedynym był spadkobiercą, w czasie znaczny majątek odziedziczy; przeto w postanowieniu swojém nie doznawał żadnéj przeszkody. Służący jego, który się dość śmiesznie Rattenkopf nazywał, i dotychczas razem z swoim panem na teatrze prywatnym grywał, to się

znaczy: wchodzące osoby zapowiadał i ze sceny stoliki i krzesła wynosił; dowiedziawszy się o postanowieniu swego pana, rzekł do niego z pokorną prośbą: »Panie łaskawy! wiém, a raczéj domyślam się, w jakiém zamiarze odjeżdzasz; chciéj mnie też wziąć z sobą, może Bóg da, iż ja w czasie także się na aktora wykieruję, a to tém prędzéj, że do tego stanu mam wielką ochotę.«

Karol, który się ze służącym przyjazno i prawie po bratersku obchodził, roześmiał się na to dziwaczne życzenie. Jednakże przychylił się do prośby jego. W krótkim czasie wsiedli obadwaj do dyliżansu i przybyli najprzód do stołecznego miasta Wiédnia.

W tém mieście uczęszczał Karol codziennie do teatru w zamku cesarskim i zachwycając się doskonałém przedstawieniem charakterów, tém bardziéj utwierdzał się w swojém przedsięwzięciu. Jednakże wrodzona skromność jego nie dozwalała mu w téj świątyni wybranych doświadczać uzdatnienia swego. Przypatrzywszy się grze piérwszych artystów, i obrachowawszy się ze swojém usposobieniem, postanowił udać się w dalszą podróż, celem wykształcenia swego talentu i zjednania sobie wprzód sławy na mniejszych teatrach, zanim w tych, wielkiemi talentami uświetnionych ścianach, wystąpić się odważy. W tym przeciągu czasu Franciszek Rattenkopf nie omieszkał także odwidzać prawie codziennie teatru, ale teatr ten był inny i podług innego smaku. Franciszek był wesołego temperamentu, lubił się śmiać, dla tego też podobał się mu nadzwyczajnie teatr krotochwilowy w dzielnicy *Leopoldstadtskiéj,* który on nad wszystkie inne przenosił. W czasie gdy Karol miał odjechać, biedny Franciszek zachorował. Karol dowiedziawszy się od lekarzy, że się słabość jego na długi czas zanosi, oddał go do szpitalu, zaopatrzył w pieniądze, a sam wyjechał ze stolicy.

* * *

Karol zwidził wiele teatrów niemieckich, a nie długo potém poznał przy jednym małym nadwornym teatrze pewną młodą aktorkę, w któréj już za piérwszém spojrzeniem tak mocno się zakochał, iż chociaż nie był jeszcze zaangażowanym i tylko miał nadzieję, że może poźniéj będzie mógł w rolach gościnnych wystąpić, już dla niéj samej przecież niejaki czas w tém mieście bawić postanowił. Atoli aktorka, panna Rosenduft, jakkolwiek była pięknéj, ujmującéj postaci, zachwyciła go daleko więcéj swoją pełną uczucia grą i tym rzadkim, świetnym talentem, którym istotnie w każdéj roli po mistrzowsku się odznaczała. Przypadek zdarzył, iż właśnie podtenczas przedstawiano same takie dramata, które były do uczucia jego i mocno go zajmowały, a w których piękne uzdolnienie młodéj kapłanki Talii, w najświetniejszym blasku się okazywało. Największe na Karolu wrażenie sprawiło przedstawienie dramatu »Romeo i Julija.« Był on tak dalece przeprowadzeniem charakteru Julii zadowolonym, iż się miał za zupełnie przekonanego, iż tylko ta Julija była istotnie taką, jaką sobie wielki jenijusz Szekspira w pomyśle utworzył, i że jéj lepiéj oddać w żaden inny sposób niepodobna było. Jakoż w saméj rzeczy i publiczność zdawała się być tegoż samego przekonania, albowiem powszechnie przyjmowano młodą artystkę w téj roli z największemi oklaskami.

»Szkoda wielka, że ja nie byłem jéj Romeo,« rzekł do siebie z westchnieniem, »z jakiémże uczuciem, z jakim zapałem nie byłbym grał kochanka takiego anioła!« Podług jego zdania aktor grający rolę Romea nie uznamienował go ani podług zarysu autora, ani go oddał z przynależnym zapałem. Od tego czasu gorzał z niecierpliwości, i nie mógł się doczekać téj najszczęśliwszej chwili ukazania się na scenie; aż nakoniec zbliżył się i ten dzień pożądany, w którym wystąpić miał w gościnnéj roli. Po rogach ulic oznajmiały doniesienia: »Dzisiaj przedstawiony będzie »dramat Szyllera: **Podstęp i miłość**; pan »Holl, jako gość wystąpi w roli Ferdynanda.«

Te słowa czytał Karol idąc na próbę. »Ludwika, panna Rozenduft. — Ona będzie grała Ludwikę, a to ze mną!« To mówiąc szedł do teatru i rozpływał się z radości.

* * *

Zaczęto próbę, a Karol był tak mocno zajęty swoją rolą, iż nie widział wcale, co się w około niego działo. Co większa, nawet gdy postrzegł w około siebie uśmiéchających się aktorów, zadowolony samym sobą i swojém szczęściem, że mu wolno było

grać Ferdynanda, a jeszcze z tą boską istotą, do którój tak gwałtownie biło serce jego; nie upatrywał w tem żadnéj urazy, ani złośliwości. Skończono próbę. Szał artystowskiego szczęścia, który go unosił, tryumf, którego był nadziejny, nie dozwalały mu nawet zjeść obiadu, i aż do ropoczęcia sztuki był tak mocno swą rolą zajęty, iż obawa, która prawie każdego, nawet najwprawniejszego aktora nagabać zwykła gdy po raz piérwszy na obcéj scenie występuje, nie miała na niego najmniejszego wpływu.

Rozpoczęła się sztuka; odegrano akt piérwszy, ale jak?!— Publiczność nie zdawała się być zadowoloną tym Ferdynandem; coś on umiał, coś on myślał, coś on wiedział, ale mu naczémeś zbywało! Aktorowie, stojący w grupach po za kulisami, jakkolwiek to bardzo skromni i pobłażający ludzie, uśmiéchali się i szeptali sobie coś, niby od niechcenia, do ucha, a sama nawet ubóstwiona Ludwika zdawała się być rozstrojonego humoru, i nie miała dzisiaj dla Karola téj ujmującéj fantazyi, która ją wprzódy do niego kłoniła. Akty następne, jeszcze gorzéj wypadły. Publiczność stawała się coraz niespokojniejszą, aż nareszcie jął się jakiś szmer rozlégać, a nakoniec przeraziste gwizdanie słyszeć się dało. Karol zaczął przychodzić do siebie, i stanął jak piorunem rażony! Po skończonéj sztuce, jakby po przegranéj bitwy, nie strzyżąc uchem na przywołanie, nie rzekłszy nikomu ani słowa, poszedł potulnie do domu, a gdy nazajutrz intendent nadwornego teatru oznajmić mu kazał, iż z powodu wczorajszego wypadku, zabrania się mu na tutejszéj występować scenie, gospodarz hotelu odrzekł: »Oho! już się on tego sam domyślił i téjże nocy jeszcze, na wyścig z wiatrem. pocztą poleciał.«

* * *

Pięć lat upłynęło, a zawsze jeszcze ani przyjaciele, ani krewni dowiedzieć się nie mogli, w którém miejscu Karol przebywa. Pisano do wszystkich teatrów, dopytywano się wszędzie, ale o Karolu Holl nigdzie nie słyszano.

Po całych Niemczech rozeszła się była podówczas sława pewnego aktora, który w zawodzie właściwéj sobie komiki, prześcigającéj wszystkie dotychczasowe w tym rodzaju popisy, zwrócił na siebie publiczności uwagę. Artysta ten już był udowodnił swój świetny talent na najpiérwszych teatrach w całych Niemczech i wszędzie przyjmowany był grzmiącemi oklaskami i najhojniejszą nagrodą.

Książę B* kazał pewnego dnia przyjść do siebie panu Wall, jeneralnemu dyrektorowi swego nadwornego teatru i rzekł do niego z łaskawością: »Jestem zupełnie zadowolony dotychczasowym kierunkiem mojego nadwornego teatru przez wćpana. Czuję się być obowiązanym okazać mu za jego usiłowanie moję podziękę. Miło mi wyznać, że podniosłeś scenę moję, która się już do upadku chyliła, i postawiłeś ją swojém gorliwém staraniem, jak i głęboką wiadomością swoją na tym stopniu, na którym teraz mnie przyjemność, a wćpanu zaszczyt sprawia. Przymiéjże za to ten order mego domu, jako znak mojego uznania twoich zasług.«

»Jaśnie Oświecony Książę —«

»Przyjmiéj;« przerwał mu książę mowę: »Czyniłeś przez miłość do sztuki więcéj, aniżeli po tobie powinność wymagała, dla tego nie przyjmuję żadnego podziękowania; uważaj to jako nagrodę zasług, któreś położył. A teraz chciéj mi oznajmić, kiedy pan Blumenfeld tutaj przybędzie. Życzyłbym sobie widzieć tego osobliwszego artystę, który wszędzie tak wielkie zadziwienie obudza.«

»Stosownie do rozkazu W. K. Mości pisałem w téj mierze do pana Blumenfeld przed kilką miesiącami, i dziś właśnie jest dzień, w którym podług naszéj umowy ma przyjechać. Jeżeli jest człowiekiem honoru, spodziéwam się, iż życzenie W. K. Mości jutro spełnioném będzie.«

Książę uśmiéchnął się z zadowoleniem, i pomówiwszy jeszcze cokolwiek o piękném umnictwie, w którém jeneralny dyrektor gruntowne wiadomości okazał, oddalił się zapewniając go o szczególnéj swéj łasce. Skoro pan Wall do swego pomieszkania powrócił, już mu doniesiono, że pan Blumenfeld przyjechał, i wysiadłszy w hotelu Berlińskim, o swojém przybyciu oznajmił. Dyrektor tém uradowany, chciał natychmiast do niego pospieszyć i uprzedzić go swém odwidzeniem, gdy oto właśnie drzwi się otwiérają,

a Blumenfeld wchodzi do pokoju. Przez chwilę stanęli obadwaj jak wryci. Nareszcie »Rattenkopf!«—»Kochany panie Holl!« krzyknęli głośno, i nie wiedząc, co się z nimi stało, rzucili się jeden drugiemu w ramiona.

° ° °

»Jak ci powiadam,« rzekł Karol w poufałéj rozmowie z Frańciszkiem, »w moim teatralnym zawodzie nie byłem bynajmniéj szczęśliwy. Umiałem ja czuć co jest piękne, wzniosłe, prawdziwe, umiałem sobie ze wszystkiego com myślił, czytał albo mówił, zdać sprawę. Byłem umnictwem dramatycznem zachwycony, zgłębiłem jego tajniki nierównie głębiéj niż wielu innych, odgadłem ducha jego, ale cóżto pomogło? Nie mogłem go zakląć, aby dał się przedstawić! Uczuciom i pomysłom moim nie umiałem nadać ucieleśnienia, nie zdołałem ich upostacić, jedném słowem, nie umiałem ich uczynić plastycznémi. Tylko jeniuszowi wolno wyrzéc: »Stan się!« i już w objawę stanęło! Z początku nie traciłem odwagi. Tuszyłem sobie, że się z czasem wprawię. Co wieksza, myślałem nawet, że w tém jakiś podstęp zachodzi. Atoli wkrótce i z niemałym żalem poznałem, żem był w błędzie; starałem się bowiem w różnych teatrach występować na scenę, ale nigdzie się mi nie powiodło! Rozważywszy, iż nie podobna, aby wszędzie publiczność przeciwko mnie podstępy knuła, przekonałem się nareszcie, że chociaż na znawcę i krytyka posiadam niemało talentu, na mimicznego przedstawiacza bynajmniéj zrodzony nie jestem. By więc zatrzéć pamiątkę mego niepomyślnego aktorstwa, zmieniłem moje nazwisko, i od lat 3ch przybrałem w tomiast inne, to jest Walla; z tego powodu ani przyjaciele, ani krewni moi dopytać się o mnie nie mogli. Lecz ponieważ żyć dla sztuki i pracować w zakresie umnictwa, że tak powiém, stało się już dla mnie nałogiem; starałem się więc znaleźć miejsce na dyrektora teatru, a pozyskawszy takowe, bawię tu już lat cztéry, i mogę się słusznie pochlubić, iż nie bez pożytku dla tutejszéj sceny; zastałem ją w wielkim nieładzie, byłto instrument dobry, ale rozstrojony; wziąłem go w akord i nadałem mu harmoniję; wygnałem dowolność, przesadę, wykrzywienie prawdy, a wprowadziłem naturę i estetyczną piękność... Lecz teraz,« mówił Holl daléj, »powiedz mi i ty, mój kochany Frańciszku, jakci się powodziło. Rozwiąż mi tę zagadkę, jakim sposobem wyszedłeś na ten stopień, na którym cię teraz publiczność podziwia i uwielbia?«

»Ach, kochany mój przyjacielu,« odrzekł Frańciszek z serdeczną otwartością, »w krótkich słowach zaspokoję twoję ciekawość, bo ja sam nie wiém dokładnie jak się to stało. Gdym już przyszedł w Wiédniu do zdrowia, a nie długo potém, ujrzawszy się bez grosza, nie wiedziałem do którego rzucić się stanu, wtedy pomyśliłem sobie: sprobuj też, azali ci się nie powiedzie tak, jak twojemu panu zostać aktorem. Ochotę masz do tego, więc i spróbować nie zaszkodzi; kto wié, może ci się powiedzie. Zacząłem się więc starać o to, i zostałem szczęśliwie przyjętym za statystę przy jednym teatrze na przedmieściu. Przez długi czas pełniłem służbę statysty. Aż oto jednego razu, ponieważ chętnie do wszystkiego użyć się dawałem, pewien aktor, mający przedstawić sztukę na swój dochód, zrobił sobie rozrywkę, i dla mego śmiésznego nazwiska Rattenkopf (szczurza głowa), kazał mię wydrukować wielkiemi głoskami na afiszu i pozwolił mi wystąpić w małéj roli w swéj sztuce. Sądzę, że ta rola, acz mało znacząca, nie źle mi się powiodła; wkrótce bowiem dał mi dyrektor drugą podobną; potém trzecią i czwartą; a gdy wkrótce na moje szczęście jeden z piérwszych aktorów nagle zachorował, z potrzeby dano mi komiczną rolę treściwego znaczenia. Bądź więc, że już samo nazwisko moje publiczność rozśmieszało, bądź że gra moja nie była istotnie ladajaka, dosyć na tém, że miałem to szczęście podobać się powszechnie. Odtąd zaczęło kwitnąć szczęście moje, odtąd dawano mi role coraz ważniejsze, i nie długo trwało, a już sława o komiczności pana Rattenkopf brzmiała jednogłośnie. To powodzenie moje miałem podziękować mojéj nadzwyczajnéj pilności i ślepemu instynktowi natury; jéj się powierzałem, ona mną kierowała. Ale gniewało mnie to, że tak często żartowano sobie z mego nazwiska; zmieniłem je więc i przybrałem nazwę Blumenfeld. Metamorfozę tę nie wzięła publiczność za złe,

i owszem przypisując ją mojemu dowcipowi, jeszcze bardziéj się śmiała; jakoż wszystko, co od tego czasu czyniłem, podobało się publiczności. Wkrótce sława moja szérzyła się coraz daléj, zewsząd pisano do mnie listy z zaproszeniem, abym występował w rolach gościnnych. Gdziem się tylko ukazał obsypywano mnie pieniądzmi i oklaskami. Ale jak się to stało, żem sobie zjednał taką sławę, i tak głośnym został artystą, tego mój kochany panie — jeżeli ci mam szczérą prawdę powiedziéć — tego ja sam nié wiém. Grałem tak, ponieważ tak grać musiałem, ponieważ inaczéj grać nie mógłem; grałem jak mi własne wskazywało uczucie.«

»Otóżto jest prawdziwa iskra Bogów, to zdrój, z którego umnicze twory płyną!« odrzekł Holl z roziskrzoném okiem. »A ja nierozsądny, ja chciałem wymusić na sobie przemocą, czego mi natura zaprzeczyła! Lecz mów daléj Frańciszku!«

Z otwartością mówił Frańciszek daléj: »Poźniéj zaznajomiłem się z wielu uczonymi i artystami wszelkiego rodzaju; prawda, iż wtedy z każdym dniem coraz bardziéj poznawałem, że mi jeszcze na wielu wiadomościach zbywało, abym się mógł na prawdziwego wykształcić artystę. Ceniłem ja mój stan wysoko i chciałem szczérze wedrzéć się do tajemnicy istotnego umnictwa, dla tego udawszy się do nich, otwarcie prosiłem ich, aby mi wskazali drogę, jaką się mam puścić, aby stanąć na wyższym stopniu ukształcenia. Artyści i uczeni udzielali mi swojéj rady, a idąc za ich skazówką, noc i dzień pracując, starałem się wynagrodzić to wszystko, com piérwéj opuścił lub zaniedbał, lub na czém mi dla braku nauk zbywało; nawet i teraz jeszcze staram się nie należéć do tych artystów, którzy mając za sobą kulisową wprawę i nauczywszy się na pamięć swojéj roli, puszczając się śmiało tam, gdzie trzeba stanąć oględnie i z niemałym namysłem, sądzą, że już wszelkie trudności pokonali. Przytém mam także żonę —«

»Jako!« przerwał mu Holl, »ty masz żonę?«

»A jużci; a do tego zacną, dobrą, pełną talentów, rozsądną i ukształconą żonę. Taka kobiéta może swojego męża w wielu względach uszlachetnić; jakoż wyznać muszę, że jéj winien jestem niejedno sprostowanie zdania mojego. Poznałem ją w moich podróżach. Moją dobrocią i szczérością, jak mi sama mówiła, pozyskałem sobie jéj serce. Jestem szczęśliwym małżonkiem i nie za długo spodziéwam się także, że szczęśliwym ojcem zostanę.«

»A gdzież jest twoja żona?« zapytał Holl.

»Jest tutaj razem ze mną,« odrzekł Frańciszek z radością; »ach, życzę sobie, abyś ją pan jeszcze téj chwili poznał! Spieszmy do niéj. Jakże się moja dobra Julija cieszyć będzie! O spieszmy, spieszmy!« To rzekłszy nie czekając na odpowiedź, wziął pana Holl pod rękę i poprowadził przez ulicę do hotelu, w którym stanął. Wchodząc otworzył drzwi z pospiechem i rzekł:

»Julijo! oto mam zaszczyt przedstawić ci mojego dawnego pana, mojego przyjaciela. A teraz widzisz przed sobą dyrektora tutejszego teatru; ale przypatrz się mu dobrze!«

Jak piorunem rażony stanął pan Holl ujrzawszy panią Blumenfeld; była nią — panna Rosenduft!

* * *

Wuj Karola pożegnał się z tym światem, zostawił mu piękną wioskę i znaczny majątek w gotowiznie.

»Mamże dłużéj jeszcze znosić tę męczarnię, którą sprawia mi jéj obecność?« tak rzekł Karol pewnego dnia sam do siebie w dumaniu zatopiony. »Namówiłem poczciwego Frańciszka, aby wypowiedział swe miejsce i zaangażował się do tutejszego teatru. Z przywiązania ku mnie przychylił się do mojéj prośby, i teraz jest ozdobą naszéj sceny. Lecz jego żona — ach!« westchnął, »jego żona! jestże w Niemczech taka druga artystka?... Lecz pocóż chcesz przed sobą taić burzę, która się w twojém sercu sroży! Wyznaj otwarcie, że nie możesz znieść jéj widoku, ponieważ on twoję dumę obraża. Ona widziała cię —,« tu mu jak jędza piekielna stanął ów Ferdynand w pamięci, i wszystkie męczarnie ożywiły się w piersi jego, których doznawał owego wieczora, gdy go przedstawiał! »Teraz mi nic innego nie pozostaje,« rzekł cokolwiek się uspokoiwszy, »jak tylko uchylić się z widowni umniczego zawodu i w samotności zakończyć życie swoje.«

W przeciągu dni kilku przywiódł wpływem swoim do tego, iż książę zacnego przyjaciela jego, Frańciszka Blumenfeld, niegdyś pana Rattenkopf, którego mu Karol jako najzdatniejszego na swoje miejsce zalecił, mianował jeneralnym dyrektorem swojego nadwornego teatru.

Frańciszek czując się wprawdzie dosyć zdolnym do przedstawczego zawodu, ale wiedząc, ile mu na głębszych wiadomościach do kierowania teatrem zbywało, wzbraniał się i nie chciał przyjąć tego miejsca. Ale Karol odrzekł mu na to: »Nie trać odwagi przyjacielu. Kogo tak piękne i trafne uczucie jak ciebie owłada, ten jest urodzonym artystą. W twojéj piersi mieszka jeniusz, który prawdziwemu umnictwu ani upaść nie da, ani go znieważyć nie dozwoli. Idź ciągle za popędem tego uczucia, płoń zawsze miłością do sztuki, nie przestawaj zagłębiać się w jéj tajemnice, a nigdy nie zboczysz z jedynéj, prawéj drogi.«

Frańciszek był przymuszony przyjąć nareszcie ofiarowaną sobie posadę. Żałosne było pożegnanie obu przyjacioł. Karol raz jeszcze spojrzał na Juliją i ucałowawszy jéj rękę, opuścił na zawsze widownią świata i zawód umniczy; schronił się w samotne ustronie w nadziei, że mu się tam przynajmniéj spokojność odzyskać powiedzie.

* * *

Po upływie lat kilku odbywał Karol podróż po całych Niemczech. Przyjechał także do B., dowiadywał się tajemnie, jak też przyjaciel jego teatrem zawiaduje; a usłyszawszy, że mu zewsząd najrzetelniejsze oddawano pochwały, zawołał z radością: »Raz tylko zawiodłem się w życiu mojém, a to było wtedy, kiedym sądził, że z czasem koniecznie dobrym aktorem zostać muszę!«

UROCZYSTOŚĆ

ODKRYCIA POMNIKA SZYLLERA

w Sztutgardzie dnia 8. maja b. r.

Statua Szyllera dziś, pośród radośnych odgłosów wielu tysięcy przytomnych, została z prosta, ale zaszczytną uroczystością odkryta. Bramy miasta były świetnie ubrane na przybycie licznych gości, a dniem piérwéj, w około pomnika przygotowano siedzenia, maszty i chorągwie. Sam posąg został bez żadnych ozdób. Robota około niego trwała prawie do ostatniéj chwili, i dopiéro dziś zrana był on już zupełnie gotowy, okryty tylko lekkim płaszczem, sięgającym aż do najniższych stopni. O godzinie 10téj z rana, z domu szkolnego przy ulicy Eberharda, wyruszył orszak tutejszych i przybyłych spiéwaków, w liczbie 1500 z muzyką i chorągwiami, połączył się z towarzystwem Szyllerowskiém, które się wystawą pomnika zajmowało, władzami miejskiemi i znakomitemi gośćmi, zgromadzonemi w Muzeum, i przybył na plac uroczystości. Przeznaczone tam miejsce dla publiczności, przyległe ulice i domy, napełnione były gęstemi tłumami ludzi. Na wzniesieniu znajdującém się na przeciw pomnika, zajęła miejsce rodzina Szyllera, znakomici goście, najwyższe władze miejskie, ciało dyplomatyczne i deputacyja z miasta Marbach, w którém się Szyller urodził. Towarzystwo spiéwaków, kobiéty i mężczyzni, rudzież królewsko dworska muzyka, napełniały ogromny cyrk wzniesiony za posągiem. Magistrat, związek, którego staraniem pomnik został wzniesiony, deputacyja gmin i budowniczowie stali obok pomnika. Uroczystość rozpoczęła się kantatą, ułożoną przez Edwarda Möreske z muzyką kapelmistrza Lindpaintnera, spiéwaną przez sztutgardzkie towarzystwo muzyczne. Szczęśliwa kompozycyja sławnego mistrza sprawiła najgłębsze i najtkliwsze wrażenie w chwili odkrycia pomnika. Ostatnia zwrotka przygotowała do téj chwili. Podczas téj zwrotki płaszcz okrywający statuę odkrył się powoli przy dźwięku wszystkich dzwonów. Nagle osłona zupełnie opadła, muzyka hucznie zagrzmiała, ale została zagłuszoną okrzykiem kilkunastu tysięcy głosów. Byłoto tak, jakby posąg zniecierpliwiony długiém zakryciem, sam odrzucił swoje zasłonę. Wrażenie w chwili, kiedy życzenia całych Niemiec zostały spełnione, kiedy spaniały posąg w całéj swéj wysokości poważnie spoglądał na tysiące widzów, w których głosach przemawiało zachwycenie całego ludu, musi być dla świadków téj uroczystéj chwili niezatartém. Kiedy radośnie wzburzone tłumy ludu uspokoiły się nieco, po odspiéwaniu pieśni: »*Was schwellt uns heut so hoch die Brust!* (Dla czego pierś nasza tak się dzisiaj wznosi!)« Gustaw Schwab wstąpił na stopnie pomnika i miał mowę stosowną do uroczystości. Następnie zabrzmiała pieśń: »*Auf, Brüder auf! beginnt das Lied der Weihe!* (Nuż bracia! żywo! zacznijcie pieśń poświęcenia!)« wykonana przez całe muzyczne zgromadzenie, i nastąpiło uroczyste oddanie pomnika miastu. W imieniu towarzystwa trudniącego się wzniesieniem pomnika, prezes tegoż radzca dworu Reinbeck, przy stosownéj przemowie wręczył burmistrzowi miasta akt tyczący się tego oddania, którego główną treścią jest, że miasto zobowiązuje się na wieczne czasy mieć staranie

o tym pomniku, ochraniać go i nigdy bez naglącéj przyczyny nie przenosić na inne miejsce, a gdyby do tego przyszło, przynajmniéj wybrać dlań miejsce godne jego. Śpiewy zakończyły uroczystość. Wieczorem po przedstawieniu »Wallensztajna« plac Szyllera był bengalskim ogniem oświetlony.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł Nr. 23. i obejmuje: 1) O uprawie lnu (ciąg dalszy). 2) O kwiatach gruntowych (dokończenie). 3) O bydle. 4) Krystyra na zdęcie bydła. 5) Sposób, żeby knotów u świéc nie ucierać. 6) Delikatne pieczywo bez cukru. 7) Łatwy sposób oczyszczenia robactwa z jarzyny w kuchni. 8) Pijawki na Wołoszczyznie. 9) Jaka korzyść wynika z kolei żelaznych na bydło tuczne. 10) Przenoszenie domów. 11) Wiadomości o gospodarstwie zagranicznem. 12) Zadania do roztrzygnienia za nagrodą.

Hr. Edward Raczyński, założyciel biblijoteki publicznéj w Poznaniu, znakomity autor i wydawca dzieł literatury polskiéj i łacińskiéj, ogłosił (jak donosiliśmy) w Wrocławiu drukiem M. Friedlendera, 2 tomy duże w 4ce pod napisem: »*Gabinet medalów polskich*,« obejmujący opis numizmatów dotyczących się Polski, od r. 1513 do 1696, czyli do końca panowania Jana III., z godłem łacińskiém: *Nos quidquid possumus in commune conferamus*, cechującem dokładnie ducha literackich celów uczonego hrabi. Dzieło to, do którego materyjały z mozolną pracą i ścisłą krytyką czerpane były tak w gabinetach publicznych jako i prywatnych, a mianowicie w najbogatszym zbiorze tego rodzaju Franciszka hr. Potockiego, któreto wszystkie autor w ciągu swych licznych podróży, w celu naukowym odbywanych zwidzał, i z nich najrzadsze numizmatyczne pomniki do pracy swojéj w najwierniejszych wizerunkach przeniósł; ważne jest nieskończenie pod względem dziejów w ogóle sławiańskich. Ryciny większéj części medali wykończone są z rzadką dokładnością, na nowo wynalezionéj machinie gliptycznéj. Do textu polskiego dołączone jest tłumaczenie francuzkie z przemową, przerobioną przez jednę z najsławniejszych tegoczesnych autorek francuzkich, margrabinę Dudevant (znaną więcéj jeszcze pod pseudonimem Jerzego Sanda.) Dzieło to od szanownego autora otrzymał w darze tutejszy księgozbiór imienia Ossolińskich.

P. Michał Grabowski w Wilnie wydaje właśnie tom trzeci swego powszechnie cenionego dzieła: *Literatura i krytyka*.

Z Krakowa. Tutejsze *Towarzystwo naukowe* w połączeniu z Jagiellońskim uniwersytetem, obchodząc rocznicę przeniesienia akademii z miasta Kazimiérza do Krakowa, odprawiło na dniu 27. maja publiczne posiedzenie, które Antoni Matakiewicz, rektor uniwersytetu, stosownem i ważniejsze téj uroczystości wspomnienia ogarniającem zagajeniem rozpoczął; a JX. Xawery Stachowski, kanonik kat. krakow. i profesor uniwersytetu, skreślił żywot ś. p. Stanisława de Bohusz Siestrzeńcewicza, niegdyś arcybiskupa mohilewskiego, metropolity kościołów rzymsko katolickich w Cesarstwie Rossyjskiém, tudzież uczone dzieła tego męża, jako członka towarzystwa nauk. krakowskiego roztrząsał i uwielbiał.

P. Ambrozy Grabowski drukuje w Krakowie *Starożytności historyczne polskie*, czyli pisma i pamiętniki do dziejów Polski, tudzież listy królów i znakomitych mężów, przypowieści i t. p. z dawnych rękopisów zebrane, z dodaniem żywotów uczonych Polaków. Dzieło to wyjść ma z 2ma wizerunkami w ozdobném wydaniu w 2ch tomach, przeszło 60 arkuszy druku objąć mających. Nim Szafarzyka mieć będziemy cieszmy się i tą pracą naszego szanownego zbiéracza.

Piérwszym tenorystą opery niemieckiéj do Krakowa przybyłéj, jest niejaki pan Kochański.

Z Warszawy. Rektor byłego konserwatoryjum tutejszego, mistrz muzyki Józef Elsner, wyjechał do Petersburga, i powiózł swoje wielkie muzyczne *Oratoryjum*, wykonane zeszłego lata w Warszawie.

Las pomarańczowy w Sardynii. Pan M. Valery, biblijotekarz król. księgozbioru Wersalskiego, w swojém nie dawno wyszłém dziele: *Voyages en Corse, à l'ile d'Elbe et en Sardaigne*, pisze jak następuje: »Byłoto d. 1. maja, gdym przy najpiękniejszéj pogodzie zwidzał ogrody, czyli raczéj las pomarańczowy w Milis, w tym raju Sardynii, w którym przeszło 50,000 drzew liczą, a którego już same powietrze zalatywało mnie z blizka najprzyjemniejszą wonią. Ten gaj opasany zielonemi wzgórkami, po którego chłodnikach i powabnych manowcach przez kilka godzin się przechadzałem, ożywiają spiewy niezliczonych ptaków i pomruki srébrnych strumyków, które pośród téj bujnéj roślinności miłym chłodem podnóża drzew bez ustanku skrapiają. Grube warstwy pomarańczowego kwiecia leżały na ziemi, podobnie jak rozścielone dywany; kroczyłem, a nawet prawie slizgałem się po tym miękkim i woniejącym śniegu. Gdy dla wygodniejszego przejścia odgiąłem czasem gałąź, natenczas ze wszech stron spadało na mnie wstrząśnione kwiecie, i jakby płatkami całą twarz moję obsypywało. Rozkoszne to kwiecie, które w bogatych oranżeryjach naszych złomków zbiéra się i sprzedaje, wyziewa w tym ogrodzie woń bezużyteczną, opada i zdeptane, pod nogami wędrowca marnie usycha. Wysokie aromantyczne krzewy i bujna trawa mieszały swój cokolwiek gorzkawy, ale nie mniéj przyjemny zapach z delikatną wonią drzew pomarańczowych. Dostatek owoców jest tam do zadziwienia; bardzo często potrzebne są pod gałęzie wspory z mocnego drzewa, aby się nie połamały pod ciężarem cytryn i pomarańcz, których ilość corocznie w przecięciu najmniéj dziesięć milionów wynosi. Wszystkie te czerwone i złotobarwne kule rażą oczy swym blaskiem śród gorejącéj roślinności, która w tych miejscach swoje festony i girlandy rozwiesza. O luba oranżeryjo wersalska, ty pomniku wielkiego wieku, jakże małemi i jak nikczemnémi wydają się twoje marmurowe kotliny, przepyszne aleje, cudne chłodniki i architektoniczne budowy obok spaniałych utworów przyrody w samotnéj dolinie Milis!«

Niewieści Leander. Któż nie czytał o starożytnych zamkach Abydos i Sestos, o które Helespont nieustannie bijąc, swoje wody spienia, i komuż nie wiadoma jest miłość i traiczna śmierć dziewicy Hero i młodzieńca Leandra, którzy w ciemnych odmętach jego swój grób znaleźli? Ale nie wielu osobom wiadomo, iż w pobliżu Raguzy w Dalmacyi na wyspie Mezzo po iliryjsku Łopud nazwanéj, i do dawnych Elafitów należącéj, przebywała niegdyś piękna dziewica, która podobnie jak Leander w morskie bałwany się rzucając, płynęła do skalistéj wyspy Śgo Jędrzeja, gdzie śród ciemnéj nocy błyskała dla niéj jasna pochodnia, i gdzie ją tęskliwy kochanek oczekiwał. Wyspa Mezza leży o ośm małych mil morskich na północ od miasta Raguzy, pomiędzy wyspami Giupana i Callamotta, i ma piękną twierdzę, która w r. 1813 przez Anglików była zdobytą, a teraz znowu opuszczoną została. W wieku 15stym i 16stym miała 14,000 mieszkańców; teraz całą ludność jéj zaledwie 60 osób stanowi. Półtrzecia mili na południe od wyspy Mezzo wznosi się skalista wyspa

Śgo Jędrzeja, pusta wprawdzie obecnie i tylko przez ptaki drapieżne zamieszkana, ale niegdyś słynna klasztorem Benedyktynów, którzy dla nauk w to miejsce się chronili, i kilką starymi zamkami, które nie dla jednej szlacheckiej a podupadłej familii przytułkiem były. W owych czasach przebywał na wyspie Śgo Jędrzeja pewien młodzieniec nazwiskiem Teramon, pochodzący z domu patrycyjuszów w Raguzie, i zajmujący się ukończeniem kroniki swéj ojczyzny, do czego mu zamożna biblijoteka klasztoru bardzo pomocną była. Teramon wypoczywając po pracy, zwykł był często odwiedzać poblizką wyspę Mezzo, na któréj z pewną Iliryjką nazwiskiem Maryją znajomość zabrał. Maryja była piękną jak Hebe i ozdobą płci swojéj, ale utraciwszy wcześnie rodziców, pozostała z trzema braćmi, którzy żeglarstwem się trudnili. Niepokonana potęga miłości wzruszyła serce Maryi i Teramona, ale zawistne przeznaczenie i nieprzyjazne stosunki nie dozwalały im połączyć się małżeńskiemi związki. Jednakże miłość, którą oboje spłonęli, przełamała wszelkie zawady, nauczyła ich ukrywać swe miłostki i pogardzać groźnemi nurtami rozdzielającemi te wyspy, na których mieszkali. Maryja będąc wyćwiczoną w pływaniu, skoro słońce zapadło rzucała się w morze i rozpierając rękoma fale, płynęła ku wyspie Śgo Jędrzeja, na któréj podług poprzedniczéj umowy, śród ciemnéj nocy zatknięta pochodnia wskazywała tajemne miejsce, do którego zapłynąć miała. Tym sposobem nie mało dni upłynęło kochankom w użyciu najsłodszych, utajonych rozkoszy, a Maryja ujrzawszy się w objęciu Teramona zapominała zawsze o ciężkiéj, niebezpiecznéj swojéj przeprawie. Lecz nie długo trwało ich szczęście. Kilku morskich rybaków odkryło braciom Maryi potajemne ich schadzki. Urażeni zakałą wyrządzoną swemu domowi bracia, postanowili zemścić się i ukarać winowajczynię najokropniejszą śmiercią. Ułożywszy tajemnie plan jéj zguby, wykonali go śród ciemnéj nocy. Celem wzięcia zatkniętéj przez Teramona pochodni, popłynęli w rybackiéj łodzi ku wyspie Śgo Jędrzeja. Tam przymocowawszy owę pochodnię do masztu swojéj łodzi, puścili się w otwarte morze, i tam oczekiwali siostry zaślepionéj swą namiętnością. Maryja rozogniona tęsknotą, pragnąca zobaczyć i uścisnąć swego kochanka, rzuca się podług swego zwyczaju w téj czarnéj, nieszczęsnéj nocy w zimne fale morskie i płynie ku miejscu, w mniemaniu, że znajdujące się na niém światło, jak zwykle bezpieczny dla niéj port okazuje. Jednakże pochodnia ta była tą razą fałszywą przyjaciółką, która ją do ciemnego grobu wzywała, albowiem nielitościwi bracia, usłyszawszy zbliżającą się ofiarę, w milczeniu pomykali się coraz daléj w otwarte morze. Z stałością i niewzruszoną wiarą płynęła nieszczęśliwa za migającém się i po raz pierwszy w téj chwili łudzącém światłem, aż nakoniec osłabiona na siłach od bałwanów pochłoniętą została. Po trzech dniach znaleziono ciało Maryi, wyrzucone przez morze na skalistym brzegu wyspy Śgo Jędrzeja, gdzie je Teramon w grobie złożył, i wystawiwszy w tém miejscu pomnik, w cichym żalu odwidzał go codziennie, aż pokąd i on nie zeszedł z tego świata. Tak opowiadają kroniki raguzańskie.

Jazda koleją żelazną. Podług urzędowego doniesienia jechało w Anglii r. 1838 powozami krajowemi o 4.800.000 mniéj osób, niż w r. 1836, a za to o 14.000.000 większa ilość po kolejach żelaznych.

Skutek przestrachu. Wiadomo, iż ubodzy włościanie i górale tak w Korsyce jak Sardynii zajmują się mocno orłów łowieniem, które częstokroć wielką część ich zarobku stanowi. Na te łowy równie niebezpieczne jak polowanie na dzikie kozy, wyszło z początkiem kwietnia b. r. trzech młodych sardyńskich włościan, z Domus Novas koło Iglesias, którzy szukając orłów nadaremnie przez czas niejaki, nareszcie w głębokiéj rozpadlinie orle gniazdo odkryli. Tylko za pomocą powrozu można było w tę stromą spuścić się głębię. Uwiązano więc do mocnéj liny drąg w poprzek, na którym łowiec, mając lat 22, uzbrojony szablą, na dół się spuścił, podczas gdy w górze towarzysze jego linę w ręku trzymali. Łowiec dostawszy się do rozpadliny, w któréj było gniazdo, znalazł czworo młodych, białoszarawych orląt, które wybrawszy z gniazda, dał znak towarzyszom, aby go wyciągnęli. Co gdy tamci uskuteczniać zaczęli, a łowiec wisiał nad straszną przepaścią, nagle uderzyło na niego z zaciekłością dwóch wielkich orłów, to jest samiec i samica, usiłujących obronić swe pisklęta; prócz nich natarły nań także inne drapieżne ptaki, które w skałach gniazda miały. Podczas gdy łowiec bronił i oganiał się szablą, towarzysze jego ciągnęli go zwolna do góry; lecz robiąc nią w około siebie, postrzegł nagle, że ugodził i na pół przeciął linę, do któréj drąg był przemocowany. Przerażony tą okropnością, oczekując co chwila nieochybnéj śmierci, nie stracił jednakże odwagi, i wytrwał stale; aż nakoniec od swoich towarzyszów z okrzykiem radości wyciągniętym został. Wyniósł on szczęśliwie czworo młodych orląt, ale trwoga na widok przepaści, w któréj co chwila spodziéwał się być zdruzgotanym, sprawiła tak wielkie w ciele jego wzburzenie, iż czarne włosy 22letniego młodzieńca mocno posiwiały. Nadzwyczajny przypadek ten potwierdzili naoczni świadkowie i dokładnie o nim zwierzchności miejscowéj donieśli.

Sposób leczenia reumatyzmu. Z Elblągu donoszą o wypadku następującym: U pewnéj damy, która mocno na reumatyzm cierpiała, doświadczano nie dawno, azaliby téj chorobie zwierzęcym magnetyzmem zapobiedz nie było można. Na ten koniec postarano się o morską świnkę i włożono ją do łóżka pacyjentki. Poczém zwierzątko to usadziwszy się na chorém miejscu, prawie przez dwa dni na niém leżało. Dnia drugiego okazało się być słabém, zapewne dla tego, że choroba, która się w członki tego zwierzątka przeniosła, dolegać mu zaczęła. Lekarze kazali skąpać je w ciepłéj wodzie, i dla odpocznienia pozwolono mu przez niejaki czas po pokoju biegać; potém włożono je znowu choréj damie do łóżka, a skutek okazał, iż w krótkim czasie znikła puchlizna, a z nią ustał i wszelki ból reumatyzmowy.

Szampan zdrajcą. Fryderyk August, król polski, elektor saski, wezwał był pewnego razu podczas sejmu w Dreznie najznakomitsze osoby do swego stołu. Nie zbywało tam na szampanie. Jeden z posługaczy schwyciwszy butelkę wsunął ją do kieszeni, co się mu bardzo snadnie powiodło, gdyż podówczas długie i szeroko fałdziste suknie noszono. Przyjaciel szampana na nieszczęście będąc ciągle zatrudniony wykonywaniem swych powinności, nie miał czasu pozbyć się tego ognistego klejnotu, który przez mocny ruch burzyć się zaczął. Nareszcie w chwili gdy służący stanął za królem, szampan zbuntowany wysadza korek z butelki, ciska nim o powałę i strzeliwszy prosto na perukę królewską, zupełnie ją pianą oblewa. Jedna część gości przestrasza się, druga zaledwo od śmiechu wstrzymać się może. Służący prawie na pół nieżywy, rzuca się plackiem do nóg królowi, a ten oddala natychmiast złodzieja — ale nie ze służby, tylko aby mu przyniósł inną, suchą perukę, radząc mu przytém, aby na drugi raz tak długo przy sobie nie nosił podobnych butelek, ponieważ, dodał z dobrocią serca: »*Le vin de Champagne n'est pas de la bière de Dresde.*«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*